

CZŁOWIEK, choć istota tak bardzo — jak mówią — bogata i skomplikowana, to jednak potrafi wymyślić nie tak snów wiele i stworzyć również niebyst wiele różnych sytuacji. Naprowadza nas na to badanie mitów greckich i różnych innych starożytnych historii. Wprawdzie wiele się zmieniło od tamtych czasów, to zrozumiałe; ale marzenia, tęsknoty, przestroje wewnętrzne procesy, świadome i nieświadome, jawne i ukryte, a także miłość, i zwłaszcza śmierć — nie przekształciły się tak dalece jak świat, który nas otacza. Stąd te zgryźliwe czasem uwagi, że to już było, a to wszyscy znają, że historia się powtarza... Trudno. Przeżywamy wiele rzeczy i spraw tak samo, jak przed paroma tysiącami lat; tyle tylko, że w innych wariantach, z komplikacjami, w coraz bardziej nieprawdopodobnych odmianach. A w mitach greckich i innych starożytnych historiach wszystko jest o wiele prostsze, jaśniejsze, elementarne.

Istnieje taki sposób patrzenia na rzeczy, który pozwala miły greckie z grubszą podzielić na dwie grupy: te dla filozofów i polityków, i te dla kucharek. Nie mam zamiaru znieważać tu przedstawicieli cennego i pożytecznego zawodu. Ale przyjęło się w naszej chłodnej i cynicznej epoce trzymać dystans do spraw serca i sentymentu. Zwłaszcza wśród ludzi rozumu nie przystoi mówić dobrze o tych sprawach, choć wszytkich one dotyczą. Stąd ta pogarda do tej czeski naszej o sobowości, którą mamy wspólna



ku świata świat wypycha ją z życia. Dziś wyobrażamy sobie Greków z czasów mitologicznych jako osoby grające na lutniach i tańczące wśród kwiatów. Musieli oni jednak wiedzieć o życiu coś takiego, co spowodowało, że kazali swojemu Orfeuszowi szukać ukochanej aż w Hadesie, nie wyprowadzić jej stamtąd, i spotkać się z nią

Andrzej Jarecki

MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

ze wszystkimi kucharkami świata. Kogóż nie wzruszy mit o Orfeuszu, o jego wielkiej miłości, która zaprowadziła go poza granice życia, za próg śmierci? Lecz kto się do tego przyzna lub przyzna się bez zastrzeżeń? Choćby to było tylko takie małe zastrzeżenie co do mentalności kucharek...

Dłatego zdumiewająca jest ta szalona prostota, z jaką Jean Anouilh może mówić swoim bohaterom, Orfeuszowi i Eurydyce przeniesionym w czasie dalsiejsze, o ich miłości do siebie. Zdumiewające, jak prosto i pięknie mówią oni słowa, jak bardzo otwierają się sobie. Tragizmie, okrutnie ta ich miłość się nie udaje. Z surową, potworną konse-

dopiero po śmierci. Zaś Anouilh, współczesny dramaturg francuski, transponując mit do współczesności, z pewnością wie o życiu swego świata dość wiele, by nie znaleźć w nim miejsca na wielką, prawdziwą miłość Orfeusza i Eurydyki. Jest w jego sztuce ogromny, oskarżycielski protest przeciwko ohydnie mieszczaństwu, przeciwko brudowi mieszczańskiej moralności, która plugawi uczucie, która je uniemożliwia. Nie jest szkodliwym, jak niektórzy sądzą, pesymizm bijący ze sztuki Anouilha. Szkodliwe jest natomiast mieszczaństwo. Nie można patrzeć na mieszczaństwo optymistycznie. Dlatego też nieopatrzone, drażniące i głupie jest zakończenie sztuki, które zobaczyliśmy

na premierze w Teatrze Powszechnym. Dowiadując się z niego, że cała tragedia miłości Orfeusza i Eurydyki była tylko snem, zaczynamy patrzeć optymistycznie nie tyle na miłość, co na mieszczaństwo! Włec jednak nie jest tak źle, powiadamy sobie, włec jednak nawet w tych warunkach ci miodzi będą się naprawdę kochać... A już tak potężnie byliśmy zhintowani! Bardzo proszę osoby, od których to zależy, by sztuka kończyła się śmiercią. Śmierć Orfeusza to protest, a nie agitacja za samobójstwami.

Muszę prostodusznie oświadczyć, że walcia mnie ta sztuka wyjątkowo. Zawdzięczam to zapewne Zofii Kucównie, która była Eurydyką. Nie bardzo piękna z wyglądu, była w tej roli tak piękna, że takich chyba na świecie nie ma. Tak piękna można być chyba tylko w oczach zakochanego. Może to jest jej największym zwycięstwem w tej roli. A przecież warto opisać jeszcze jej uśmiech i oczy, jej prostotę i szczerość, jej strach — a przede wszystkim jej gesty, gdy wchodziła za Orfeuszem do pokoju hotelowego, powtarzając wszystkie jego ruchy. Ta scena była też najlepszym chyba osiągnięciem reżysera.

Partnerem Kucówny w roli Orfeusza był Tadeusz Janczar, bar-

dzo sympatyczny i prosty, może niebyst głęboki, ale dobrze obsadzony, trafnie nie narzucający się indywidualnością. Znakomity był Bogusław Bilewski w roli Pana Herkula, tajemniczego opiekuna zakochanych. Jest to postać — jeszcze raz użyjmy tego słowa — ze snu kucharki. Bilewski zagrał to znakomicie, z chłodnym dystansem, z ironiczną wszachwidłą — i z prawdziwym przejęciem tam, gdzie oskarżał podłość świata.

Przedstawienie miało wiele doskonałych epizodów — czuje się w tym ręce mądrego reżysera. Wybił się tu na czoło Mieczysław Serwiński, ślaby w pierwszym akcie, za to doskonale w monologu końcowym. Bezbledna sylwetkę cynicznego i sprósnego impresaria Dulaca pokazał Czesław Byszewski. Natomiast nie udało się trudne do zagrania role słych aktorów w życiu i na scenie, matki i ojczyzna Eurydyki. Janina Martini i Stefan Rydel zbyt szarżowali i splaszycili obie te ciekawe sylwetki.

Inszenizacja „Eurydyki”, dokonana przez Jacka Szczęka, bardzo sprawną i ciekawie oprowadzoną plastycznie przez Krzysztofa Rankiewicz, umiejętnie i z wyczuciem wzięła sprawę między poezją a życiem. W jednym tylko miejscu przerwał ją przykry zgryz, gdy przed aktem czwartym na scenie pojawiła się brzoza, da techniczna, zmieniając dekoracje. Ten oby wtętr przerwał tok wyobraźni, zniweczył starannie nagromadzone w widza wrażenie. Lepiej było tego uniknąć.

Jeszcze raz wnoszę prośbę o zmianę zakończenia.